



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLUCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Żyjemy obecnie w sezonie wystawowym, który poprzedza... śmiertelne nudy ogórkowego sezonu; gdy już ucichną wszystkie echa z Mokotowskiego Pola i Ujazdowskiego Placu, gdy zamkną się wrota Pomarańczarni i opróżni sala rzeźb w gmachu Towarzystwa Sztuk Pięknych, gdy wreszcie znikną ostatnie wąsate i ogorzałe twarze wiejskich naszych obywateli wraz z ostatnimi mundurkami z bruku warszawskiego, nastanie kanikuła i nudy, pustka, której ani ploteczki tuzinkowe, ani recenzje teatralne, ani buletyny ogródkowej Melpomeny nie wypełnią. Chyba się ulituje telegraf i zacznie nam dla niespodzianki sypać telegramiki polityczne, rozbudzające rozleniwiały w letnich upałach umysł nieszczęśliwego Warszawianina.

Zanim to nastąpi, przyjrzyjmy się materyałowi, zebranemu w kronikarską tekę, niby pięknym kwiatkom i roślinom w herbaryuszu, zerwanym w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Oto weźmy przywidłą już trochę niezabudkę ze Studzienieckiej Osady, od której — jako najdawniej uszczkniętej, zwijanie felietonowego bukietu rozpocząć nam wypada. Przyjętym zwyczajem grono zaproszonych gości z Warszawy zwiedziło w zeszłym miesiącu kolonią dla małoletnich przestępców w Studzieniu i z Zarządem Towarzystwa na czele odbyło przyjemną i nauczającą wycieczkę w rocznicę otwarcia tej poprawczo-wychowawczej instytucji, która z każdym rokiem rozwija się pomyślniej i na pożytek ogółu działalność swoją rozszerza.

Nie chcemy suchymi liczbami argumentować: więc powiemy tylko, iż mało która z naszych instytucji

dobroczynnych potrafiła w przeciągu dziesięciu lat istnienia osiągnąć takie rezultaty, pozyskać takie uznanie i tyle widocznych dowodów swej praktyczności i pożyteczności zebrać, co instytucja Osad Rolnych w Studzieniu.

Najsamprzód zauważyć się godzi, że osada ta wzorowo zagospodarowana, cudem prawie powstała, ale tym cudem, które wspólne siły, dobra wola i wytrwałość niezmordowana stwarzać umie. Kiedy przed dziesięciu laty oprócz dobrej myśli i najlepszych chęci, niczem własnem nie mogło rozporządzać Towarzystwo, dzisiaj poza fikcyjnym do pewnego czasu majątkiem z zapisu ś. p. hr. Kiekiego, posiada mienie około miliona złotych wynoszące, zebrane usilnem staraniem i ciągle podbudowaną ofiarnością ogółu. Jak popularną stała się Osada Studzieniecka, dość powiedzieć, że sama Warszawa za żywe słowo, głoszone w ciągu tych lat kilku z katedr prelegentek na jej korzyść, złożyła około 40,000 rs. gotówki.

Ale też ktokolwiek kiedy ofiarował jaki grosz na cel osady, ten sownie musiał być wynagrodzony widokiem jej rozrostu, pięknych plonów, humanitarnego i moralnego posiewu, rezultatami działania i zapowiedzią coraz świetniejszej przyszłości.

Od lat trzech Towarzystwo z dumą może się poszczycić, że stanęło na praktycznym gruncie swej działalności, odkąd zaczęło zwracać społeczeństwu moralnych rekonwalescentów, wprowadzać zbłąkanych na proste drogi poprawy i z nieużytków, a co gorsza szkodników, wytworzyło użyteczne jednostki, znające dobrze obowiązki względem Boga, ludzi i siebie. Przeszło stu wychowalców wróciło już na wolność, zrehabilitowało swą przeszłość, odzyskało prawa uczciwych obywateli, nauczyło się pracować na chleb i przestało być ciężarem, a co więcej — niebezpieczeństwem dla społeczeństwa.

Kuracya tych chorych dusz dziecięcych, zaka-

zonych w samym rozkwicie jadem zbrodni i złych skłonności, musiała być sumienną i skuteczną, skoro na ogół uleczonych znalazło się tylko trzech recydywistów; ogół odgrywał tu rolę aptekarza, dostarczającego środków leczniczych, ale właściwym lekarzem, ordynującym i dozorującym moralnie chorych pacjentów w zakładzie był jeden głównie człowiek, zasługujący na wyraz głębokiego uznania i wdzięczności, a człowiekiem tym jest obecny Dyrektor Studzienieckiej Osady, p. Zajewski. Jego to pracy, poświęceniu i zamięłowaniu, jego trudom przypisać głównie należy tak świetny tryumf w dopięciu celów, jakie na drodze praktycznej zakresliła sobie instytucja poprawczo-wychowawcza dla nieletnich przestępców.

Przy sprzyjających okolicznościach programmat Towarzystwa rozwijać się będzie dalej, coraz pomyślniej, zwłaszcza gdy projektowane przytulki rzemieślnicze i kolonie dla dziewcząt będą mogły wejść w życie, a przy znanej energii Zarządu i jego najlepszych chęciach spodziewać się należy, że nie *ad kalendas graecas* trzeba będzie odłożyć termin urzeczywistnienia powyższych zamiarów.

Najsmutniejszą rolę w tym pogodnym obrazie zbiorowej pracy odgrywają ci członkowie Towarzystwa, którzy z pierwotnych, choć po większej części tytularnych, dobrodziejów stali się jego niesumiennymi dłużnikami, a raczej winowajcami, bo ciężkiej winy dopuścili się wszyscy, co, mogąc, nie poczuwali się do obowiązku popierania instytucji skromnym datkiem kilku rubli rocznie i pozwolili zaległym składkom urosnąć do poważnej summy 24,000. Trudno przemawiać do sumienia i ambicyi obywatelskiej ludzi, których samo wewnętrzne poczucie publicznego dobra, zależnego od bardzo łatwych i drobnych ofiar, nie skłania i nie zachęca do wykonania przyjętych dobrowolnie zobowiązań.

Zdawałoby się, że w tych ciężkich czasach wydatek jakichś 10 rs. rocznie jest pozycją nad-

którą oszczędność każe się dłużej i poważniej zastanowić, ale kto miał sposobność przyjrzeć się tegorocznym wyścigom, albo parodom powozowym w Alejach, albo popisom na Wystawie Inwentarza, albo zakładom przy *Totalizatorze*, albo i t. d., ten musiał przyjść do przekonania, że u nas nie brakuje jeszcze ludzi, którzy niebardzo skrupulatnie ze swoim groszem obliczać się muszą i że chyba mniej chęci w sereu, niż rubli w kieszeniach, znajduje się u wielu owych Zapominalskich.

Wyścigi odbywały się jednocześnie z wystawą koni, bydła, trzody i narzędzi rolniczych, urządzoną staraniem towarzystwa wyścigowego u nas.

O sporcie naszym i małpowaniu bogatszych krajów zagranicą, nie chcemy mówić, aby się nie powtarzało systematycznie o tej porze i nie prawić zwietrzałych moralów, które są grochem o ścianę rzucanym.

Wyjątkowo moglibyśmy mieć żal do wyścigów, że nam tą jakąś fatalnością swoją psują pogodę, bo niech jeno pierwszy dżokej w kusej kurtce i białych rajtuzach pojawi się na Mokotowskim Polu, to zaraz, jak na obstalunek, deszcz musi lunąć i fabrykować słynne nasze warszawskie błotko na bruku miejskim.

Już-to wyścigi i fajerwerki nie mają szczęścia do pogody; przypomina to nam pewną anegdotkę, którą znaleźliśmy w listach Szopena do rodziców, pisanych z Wiednia a pomieszczonych w wydanej obecnie popolsku i najobszerniejszej ze znanych dotąd biografii genialnego artysty, napisanej przez M. Karassowskiego.

Pewien jegomość miał śliczny frak brązowy, — opowiada z właściwym sobie humorem Szopen, — lecz ile razy go wziął na siebie, tyle razy deszcz padał. Chociaż rzadko się w niego ubierał, przecież nigdy w suchym fraku nie wrażał do domu. Idzie tedy do krawca, opowiada mu o tem i pyta: coby w tem była za przyczyna? Krawiec zdziwił się, począł trząść głową; ale prosi tego pana, żeby mu ten frak dla wypróbowania na parę dni zostawił, bo nie mógł ręczyć, czyli fatalizm ten do kapelusza, butów lub kamizelki nie jest czasem przywiązany. Ale gdzież! krawiec wziął frak na siebie, wyszedł na ulicę; musiał nieborak, chcąc wrócić do domu, nająć fiakra, gdyż zapomniał wziąć z sobą parasola... Krawiec zmokł i frak był wilgotny; trzeba było czekać aż wyschnie, bo inaczej nie byłby suchym. Poczekawszy, przychodzi krawcowi rozum do głowy rozpruć frak i zobaczyć: czy tam czasem niema jakiego kaduka, coby chmury sprowadzał. Wielka myśl! Pruje rękawy — niema nic. Pruje poły — niema nic. Pruje piersi... i cóż? Oto między klejonką znajduje kawał fajerwerkowego afisza! Dorozumiał się wszystkiego; wyjął afisz i odtąd frak już więcej nie mokł!...

Wracając od szopenowskiej anegdotki znowu do wyścigów, moglibyśmy sobie chyba tem wytłumaczyć tę zawziętość nieba, że i one mają u nas coś wspólnego ze sztucznymi a kosztownymi fajerwerkami, które po spaleniu oprócz trochy dymu i popiołu nic więcej nie zostawiają.

Ale trudno! bawimy się w lordów, bo nam z tem do twarzy, podbijamy tysiącami rubli kopyta końskie, bo nam to emocją sprawia i szyku nadaje.

Rehabilitacją wyścigów była Wystawa Koni i Bydła, urządzona poraz drugi przez Towarzystwo wyścigowe na Placu Ujazdowskim; w tym roku przybyło miejsca, a katalog wystawowy powiększył się znacznie skutkiem włączenia działu maszyn rolniczych, pozostawionych wszelako poza konkursem. Na oko, zewnątrz, wystawa robiła imponujące wrażenie swoimi rozmiarami, chociaż dobozem okazów i ich ilością nie przewyższała zeszłorocznej. Widzieliśmy powiększonej części reprezentowane te same ważniejsze firmy gospodarskie, a brakło znów wystawców z ludu; mieliśmy zbyt wiele exemplarzy, a mało pożytecznych, nabraliśmy wyobrażenia o niektórych stajniach pańskich, ale nie o przeciętnym stanie hodowli w całym kraju.

Jak było do przewidzenia, gospodarstwo kobiece przedstawiło się skromnie i nielicznie; kilka kurników, i to jednej przeważnie wystawczyni, sta-

nęło na placu wystawy, a było miejsce na więcej, ale kandydatek, aby się popisać mogły i chciały zbrakło.

Natomiast nasze panie, zamiast kokoszek pięknie upierzonych i tucznych gąsek, wołały wystawić swoje modne kapelusze i kosztowne stroje, za które wprawdzie medalów nie rozdawano, ale, które im zyskiwały wiele pochwałnych... spojrzeń i wykrzykników.

Trudno! — co kto woli.

Mieliśmy też na wyścigach i na wystawie przedsmak owych róż i różyczek, które ogrodnicy nasi i hodowcy na pokuszenie oczów i nosów warszawskich w Pomarańczarni Łazienkowskiego Parku wystawić postanowili.

Trzebaby być Firdusim, albo p. Jankowskim, dzielnym redaktorem „Ogrodnika Polskiego“, aby dobrze opisać i ocenić wszystkie królowe i królowne kwiatów, romansujące jak wiadomo od wieków ze skrzydlatymi trubadurami, których zoologia nazywa pospolicie: słowikami i motylami. Nie czując się na siłach, notujemy tylko fakt urządzenia tej oryginalnej i wonnej wystawy w Warszawie i przechodzimy do Wystawy Szkiców, pomieszczonej w sali rzeźb Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przy Krakowskim Przedmieściu.

Wystawą tą zajęli się nasi młodzi artyści i wywiązali się ze swojego zadania bardzo szczęśliwie. Od Matejki, Siemiradzkiego i Brandta zacząwszy, a skończywszy na najmłodszych i najmniej znanych, wszyscy prawie stawili się do apelu, niosąc ofiarę talentu i życzliwości swej dla instytucji, na której wyłączny dochód Wystawa Szkiców urządzoną została; jak wiadomo bowiem, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w przeciągu lat trzech musi sobie znaleźć nowe pomieszczenie: zapragnęło tedy oprzeć się pod własnym dachem i nie szukać łaskawych kątów. W tym celu rozpoczęło zbierać składki, a swoi i najbliżsi pośpieszyli pierwsi z ofiarami; początek był dobry. Większość nadesłanych prac znalazła od razu nabywców, przyczem okazało się, że u nas nietrudno byłoby o mecenasów sztuki, gdyby panowie artyści uwzględniali kieszenie naszych domorosłych entuzjastów i nie cenili zbyt wysoko swoich robót.

Utwory polskiego pędzla i dłuta dałyby się łatwo popularyzować przy warunkach dostępnych, a pierwsza ta wystawa szkiców powinna pozostawić praktyczne wskazówki na przyszłość i zachęcić młode talenta do „taniego popisu“.

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, jeżeli się zakrzętnie gorliwie i zrećnie, będzie mogło poważnie pomyśleć o wybudowaniu własnego gmachu, a na poparciu ogółu, nietylko na poparciu samej Warszawy, ponoszącej *pro honore domus* większą część filantropijnych i obywatelskich wydatków — nie powinno zbraknąć instytucji, mającej na celu kształcenie estetycznego smaku i podnoszenie sztuki krajowej.

W roku przyszłym Modrzejewska po powrocie z Ameryki na stałe do Warszawy, da jedno przedstawienie na korzyść budowy rzeczzonego gmachu; przyrzekła już solennie tę ofiarę i słowa dotrzyma: ale oprócz niej możnaby uprosić innych jeszcze artystów o podobną pomoc, któraby z pewnością nie zawiodła.

Nie chcemy poddawać Towarzystwu pomysłów wyzyskiwania ofiarności publicznej, która ma trochę charakteru dziecięcego u nas i potrzebuje zainteresowania czemkolwiek bądź, często zewnętrznego podrażnienia tylko, by sypnęła groszem hojną ręką; jesteśmy pewni, że dobrych pomysłów w tym kierunku nie zbraknie, byle tylko energicznie i umiejętnie zabrano się do ich wykonania.

Jeden z projektów, który swego czasu podsuwaliśmy naszym artystom, przyswoił sobie w tym roku nowozałożony Klub Wioślarski pod prezydencją i za inicjatywą D-ra Stankiewicza, mianowicie projekt wzniesienia na większą i uroczystszą skalę obchodu Wianków na Wiśle.

Piękna ta i poetyczna pamiątka ma być w wigilią św. Jana z możliwą wystawnością, na wzór Krakowa — obchodzoną. Będzie to niejako zarazem inauguracją nowego Stowarzyszenia, którego ustawa podobno już potwierdzoną została. Klub wioślarski ma na celu higieniczną zabawę w celu

rozwoju sił fizycznych swych członków przez ćwiczenia gimnastyczne, wiosłowanie, pływanie, ślizgawkę i t. p. ewolucje na wodzie i lądzie.

Takiego Stowarzyszenia brakło nam dotychczas, zwłaszcza dla naszej bladej, chuderlawej i anemicznej młodzieży, wśród której tradycja męskiej tężyzny ginie coraz bardziej. D-r Stankiewiczowi należy się też uznanie za podjęcie tej myśli i przeprowadzenie jej energicznie.

Druga ustawa, która zyskała potwierdzenie właściwej władzy, powołuje do życia instytucję, zasługującą ze wszechmiar na względy i uznanie ogółu. Instytucją tą jest „Schronienie dla nauczycielek“, popierane energią i dzielną pomocą czciwego X. Zygmunta Chełmickiego. Zbytecznem-by było rozwodzić się szeroko nad potrzebą i znaczeniem takiego schroniska dla steranych prac, lub wysiłkiem i chorobą wychowawczyń, postawionych najczęściej w najfatalniejszych warunkach z chwilą porzucenia zajęć i pozbawienia środków utrzymania.

Błogosławioną niech będzie myśl zapewnienia tym biednym pracownicom spokojnego kąta i kawałka chleba nieoblanego łzami upokorzenia i wstydu. Oile nam wiadomo, fundusz zakładowy, zebrany z ofiar prywatnych, istnieje już wraz z projektem zakupu domu i urządzenia go dla pewnej ilości lokatorek.

We właściwym czasie postaramy się o bliższe i dokładniejsze szczegóły, gdy już ustawa publicznie ogłoszona zostanie...

Nietylko z obowiązku kronikarskiego wypada nam zanotować ożywienie się naszej głuchnącej i milknącej opery, którą w ubiegłym tygodniu rozbudziła panna Marya Sittówna kilkoma gościnnymi występami na scenie warszawskiej. Artystkę przed usłyszeniem pierwszej nuty, przed poznaniem i ocenieniem talentu obrzucono kwiatami i jako introdukcją do pierwszych frazesów „Normy“ powitano takim *tutti* oklasków i okrzyków, jakich dawno teatr nasz nie słyszał, bo w pannie Sittównie witano przedewszystkiem — siostrę, która się wybrała z wizytą do rodziny. Przyjęcie też miało charakter familijny, gorący, entuzjastyczny, a zrozumieć je łatwo, gdy się doda, iż Marya Sittówna jest primadonną opery praskiej. Czeszką z rodu i jedną z tych wyjątkowych artystek, które ponad szeroką sławę przenoszą oklaski swojskiej ręki, wyrzekają się laurów u obcych, byle blaskiem swego talentu otaczać własną narodową, ukochaną scenę.

Nie chcemy naszego sprawozdawcy muzycznego pozbawiać przyjemności rozpisania się o występach czeskiej artystki i jej powodzeniu u nas, dodamy tylko, że powodzenie to było zupełne i zasłużone. Warszawa siostrzanej Pradze opłaciła przytem dług wdzięczności za życzliwość i entuzjazm, z jakim u siebie podejmowała stolica nad Woltawą polskich artystów.

Z kroniki artystycznej w Warszawie niewiele mamy uwagi godnego do upamiętnienia; na głównej scenie rozpoczęły się ferye, w których zazwyczaj okulać musi repertuar i niedosypiać reżyser, zakłopotany łataniną sztuk i obsady. Teatrzyki ogródkowe wabią, jak mogą publiczność na dobre piwo i pieprzne sztuki; a jest ich aż pięć w tym roku, co w ogóle z dwoma stałymi teatrami tworzy kabalistyczną, ale i fatalną, siódemkę.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Gdzie jest brat pański? — dodała porywco. Marcyanowi łzy z oczu popłynęły.

— Pani nie wiesz?—spytał smutnie.
— Ja? Zkąd-że ja o tem wiedzieć-bym mogła?
— Wolski się nie chwalił?
— Na miłość Bożą! a toż co? alboż....
I strwożona ręce zacisnęła.

W tem wszedł o. gwardyan, i widząc ich rozmawiających, stanął, poruszając ramionami.

— Mój ojciec — pośpieszyła — całując go w rękę Zaborska, — pozwól mi się z nim rozmówić, mam pilną sprawę.

— Mówcie, byle co pocziwego — odparł o. Remigi, idąc ku oknu.

Zaborska przybliżyła się do stojącego w progu Marcyana; ten miał już czas namyśleć się, że zawieźć zupełnie starej nieprzyjaciółce, o której nawróceniu powątpiewał, było niebezpiecznie.

— Gdzie Damazy? — zapytała Zaborska, oczyma go przenikając.

— Moja jejmość — odparł chłodno Butrym — na przód proszę mi powiedzieć: jak się pani serce tak obróciło nagle ku nam?

— Widziałeś mnie przy ołtarzu — odparła Zaborska, uderzając się w piersi — widziałeś, że nie heretyczka, że się Bógu modłę, a nie wierzę mi. Córka wynędniała z tej miłości; choćbym jej nie chciała, co ja pocznę. Gdzie on jest?

Marcyan patrzył na nią, niedowierzając.

— Sam jeszcze nie wiem dobrze — rzekł, jakając się — ale od dni kilku go napytać nie mogę. Lękam się, jak w wodę wpadł!

Zaborska, w ruchach gwałtowna, podniosła głowę, ręce opuściła, jęknęła głośno:

— Co acan myślisz? czy ten zbój? ale to nie może być?

— Może to być — odparł Marcyan — bo Damazy był nadto śmiały, nie słuchał nikogo i w ręce jego łatwo mógł popaść. Lękam się, że albo nie żyje, lub siedzi gdzie pod ziemią, gdzie długo też żyć trudno.

Patrzył na Zaborską, która płakać zaczęła; o. Remigi, stojący u okna, odezwał się surowo:

— Cóż to jejmość wyrabiasz? do czego te płacze? Co to jest?

Łzami temi skonwinkowała nareszcie Butryma. Zbliżył się do niej.

— Nie mam co tać — rzekł — Brata poranionego okrutnie wziął Wolski i siedzi w lochu pod zamkiem. Koliba wie o nim. Jeżeli możecie przez kogo trafić do niego, aby mu choć jeść dawali i rany opatrzyli; ja tymczasem starać się będę.

Zaborska, której łzy nagle oschły, takim strachem przejęta została, słuchała oniemiała.

— Wiesz na pewno? — szepnęła słabym głosem.

— Bom go widział — odparł jeszcze ciszej Marcyan. — Zlituj że się pani, aby go choć przy życiu utrzymać — a Bóg łaskaw.... ja....

Zadumała się Zaborska.

— Zbój! kat! oprawca! — poczęła mruczeć. — Z nim i mówić o tem nie można. Koliba — to jego prawa ręka.

Zadumała się i poczęła oczy ocierać.

— Jutro przyjdź do Fary — rzekła cicho — powiem, co zrobię.

Poszła żywo gwardyana pożegnać i wymknęła się z celi.

Ojciec Remigi o niczem jeszcze nie wiedział.

— Cóż-to za konszachty z Zaborską? — zapytał znowu surowo, patrząc na niego.

— O Damazego mnie pytała — westchnął Marcyan.

— A ty sam nie wiesz, co się z nim stało? — rzekł gwardyan.

— Niestety, ojciec mój — wiem już — wiem!

Gwardyan oczy podniósł ciekawe, czuł jakby płacz stłumiony w głosie Marcyana.

— Wolski go pochwylił. Ranny, porąbany, leży w lochu pod wieżą.

— Plotki! — z obawą jakąś odezwał się gwardyan. — Wiesz że ludziom wierzyć łatwo nie można.

— Byłem u niego, widziałem sam! — odparł Marcyan krótko, łzy ocierając z oczów.

Po twarzy gwardyana przebiegł wyraz oburze-

nia. Pracował nad sobą, aby względem benefaktora, wielkiego dygnitarza Rzeczypospolitej i potentata, nie okazać uczucia, które-by mu uwłaczało, lecz zwyciężyć się nie mógł.

— Musiał zawinić — zamruczał. — Posiedzi, puszczać go.

— Tyle tylko wiem — rzekł Marcyan — iż ofiarę niewinną chciał wyrwać z rąk oprawców. Z tych lochów, w którym on siedzi, ludzie żywi nie wychodzą.

Nic nie odpowiedział gwardyan, a po namyśle, ratując się, dodał:

— Książę pan nie wie o tem pewnie.

I odwrócił rozmowę.

— Co myślisz?

— Niebo i ziemię poruszę, a brata uratuję — lub sam zginę — odparł Marcyan.

Dłuższa rozmowa tak była ciężką dla gwardyana, który niechęci i oburzenia względem pana nie chciał okazać, że ją natychmiast przerwał pod jakimś pozorem pilnego zatrudnienia, a gdy Butrym przyszedł go w rękę pocałować, szepnął tylko cicho:

— Nie gub-że się ty sam, bądź ostrożny.

Z tem odszedł Marcyan, czekając do dnia następnego, co mu Zaborska za wieść przyniesie.

Stara powróciła na zamek, cała wzburzona otrzymaną wiadomością. Przez drogę miała czas obmyśleć, że córce nie godziło się tego mówić, aby jej nie przyprowadzać do rozpacz. Musiała utaić nieszczęście, a sama się starać, szukać jakiegoś ratunku na nie. Do Wolskiego, gdy powróci, nie mogła się udać z prośbą, bo wiedziała, że ona-by popsuc mogła wszystko i do gniewu go pobudzić przeciw stróżom, a stróżów przeciw więźniom. Nie było innego środka, tylko samej lub przez kogoś, dostać się do Koliby.

Jedna stara Szurska, gdyby chciała, mogłaby jej w tem być pomocą. Miała ona u wszystkich na zamku, nie wyjmując księcia ani Wolskiego, poważanie szczególne i łaski, niezem, chyba jakimś dawnym zasługami i świadomością tajemnic, wytlómaczone. Na zamku unikano jej i obawiano się. Pozyskać jej sobie nie przychodziło łatwo, wiek uczynił ją obojętną na wszystko, oprócz groza. Litość w niej obudzić było prawie niepodobna. Życie jej pełne było jakichś tajemnic.

Przez nią jedną mogła Zaborska trafić do Koliby i do więzienia. Powróciwszy, poczęła od tego, że uspokoiła córkę, oznajmiając jej, że się z Butrymem widziała i że Damazy trochę niedomagali, dlatego o sobie znać nie dał, ale już zdrowszy był i wkrótce obiecywał przybyć. Poszła potem zaraz do Szurskiej, którą w jej brudnej izdebce zastała, nad jakimś ziołami, garnkami i gospodarstwem cuchnącem, zagniewaną na służkę.

Musiała Zaborska czekać z rozpoczęciem rozmowy, aż ona wyszła.

— A! moja ty jedyna dobrodziejko i przyjaciółko — odezwiała się — widzisz, co ja, przy mojem szczęściu, którego mi ludzie zazdroszczą; co ja za męki cierpię! Faustysia mi w oczach schnie; ratunku na to niema. Przepada za tym hołyszem Damazym Butrymem. Wiecie, że się jej taki człowiek jak Wolski stręczy — ani na oczy go widzieć nie chce.

Szurska patrzyła, w ustach niby coś przeżuwając.

— O naszym księciu, który taki na nią łaskaw, ani mówić. Już byle dla niego była grzeczną, i to mu starczy.

Szurska kiwnęła głową i wyrwało się jej:

— Stary-by o trumnie myślał, a niewiedzieć co ma w głowie.

— Co nam tam do tego! — przerwała politykując Zaborska. — Z księciem jak z księciem, ale z tym Wolskim — skaranie Boże! Kocha się w Faustysi na zbój — zazdrosny i poprzysiągł zgubić Butryma.

— To on go zgubi — to taki człek — rzekła zimno Szurska, ciągle coś żując niby i spluwając.

— A! otóż ja właśnie do was przyszedłam o ratunek, moja dobrodziejko — wyciągając ręce do kolan staruszki, odezwiała się Zaborska — moje Fau-

stysie i mnie wybaw! Ona się zapłaczę w śmierci po Butrymie, a jak jej nie stanie, mnie nie żyć.

Zaborska kwilić się na płacz zaczęła, co bynajmniej Szurskiej nie rozculiło. Stała, słuchając, i i niekiedy skrobała się po szyi, bo miała tę chorobę starych, która nieznosnem swędzeniem skóry dokucza. Ujęła ją zlekka za kolana Zaborska, co dziwnie wyglądało, bo była dostatnio i wykwiłt-nie ubrana, a Szurska, jak żebraczka.

— A cóż ja na to poradzę! — szepnęła stara i ramiona ścisnęła.

Zaborska zbliżyła się do niej i rzekła cicho:

— Napadł Wolski tego biedaka w lesie, porąbali go, wzięli i tu do lochu rzucili! On z ran i głodu umrze!

Szurska, słuchając, usta wydeła i powieki ściągnęła. Dotąd obojętna, wiadomością tą się ożywiła nieco.

— Zkąd wiesz? — spytała lakonicznie.

— Wiem najpewniej. Butrym przecie ma brata...

— Co podłowczym był? — przerwała Szurska.

— Ten sam.

Szurska głową kręciła.

— Gdyby choć mu rany opatrzyć i jedzenie można zanieść, żeby go Koliba nie zamorzył.

Domyślając się, że tu o jej interwencyą idzie, spojrzała bystro Szurska i żuła żywiej, a głową potrząsała.

— Ten Wolski! ten Wolski! — zamruczała — to człek. Takim szatani dopomagają, a z szatanem sprawa, o ho! o ho!

W tem zakipiało coś w garnuszku na kominie i Szurska coby prędzej poszła go odstawić, narzekając na tę — niezdare — która poszła i nie powracała. Zaborska chcąc jej gniew złagodzić, sama się schyliła do garnka.

— Moja dobrodziejko — rzekła — ratuj mnie.

Na zakłęcia i prośby Szurska długo milczała, ani się wymawiając, ani obiecując nic.

Zaborska jeszcze raz się do łez uciekla, a stara się jej dała wypłakać; naostatek wzięła ją za ramiona, zapatrzyła się jej w oczy i popchnęła ku drzwiom, mówiąc dobitnie.

— No — to dosyć! słyszysz? mówię — dosyć! rozumiesz!

I drzwi sama za nią zamknęła.

Kiedy na zamku się to działo, zabawna i dziwna scena odbywała się pod bramą. Koliba siedział nad garnkiem z kaszą, który starannie wyskrobywał, bo lubił właśnie tę, która była do boków przywrzała, gdy do izby jego wpadł zamaszysto, świstając, Wątróbka.

Wziął się w boki i począł na niego patrzeć. Zbliżył się potem i zajrzał mu do garnka — rozśmiał się, ale w tej-że chwili rękę wyciągnął do leżących kluczków na ławie i pochwycił je. Koliba, brzęk usłyszawszy, zerwał się, garnek na stół rzuciwszy. Oczy mu się zaogniły.

Palce kościste zmierzały ku kluczkom.

Wątróbka je za siebie wziął aż na plecy.

— Siedź, jedz — pij.

Pokłonił mu się, nogą szastnął i ku drzwiom się posunął. Koliba za nim biegł, grożąc i mrucząc.

— Ani mi się tykaj, bo ubiję! — zawołał Wątróbka. — Siedź tu.

Szedł za nim stróż do drzwi, jęcząc już tylko, ale chłopak kluczków ani myślał oddawać. Popchnął go od siebie, odwrócił twarzą do garnka, skoczył do drzwi i za sobą je zatrzaskał, a skobel założył i kijkiem go umocował.

Wewnątrz dobijał się Koliba, ale zeicha i ostrożnie, bo się snadź obawiał czegoś. Chłopak tymczasem, śmiejąc się, zbiegł ku drzwiom więziennym, klucza do zamku dobrał, otworzył, dostał się do wnętrza i zamknął je za sobą. Stojąc na wschodku, dobył z zanadru stoczek, krzesiwa i siarkowanej hubki. Rozniecił płomyk, stoczek zapalił i z nim wszedł na dół wschodami. Śpieszno mu było, przeskakiwał po dwa wschody. Przesunął się żywo kurrytarzem, patrząc po drzwiach, dopóki na nich nie zobaczył kredą zrobionego znaku. Począł kluczków dobierać. Był ich pęk duży, i nie prędko mu się udało znaleźć ten, który otwierał. Naostatek zamek uległ Wątróbka był

w podziemiu, ciekawie się rozpatrując. Stoczek podniósł do góry.

Damazy leżał na wpół wsparty o ścianę, w tym stanie półsenym, w jakim go znalazł Marcyan. Usta miał otwarte, oczy osłupiały. Twarz pokrzawiona strasznie wyglądała, — bladość jej zaschła krew prawie trupią czyniła.

Zobaczywszy Wątróbkę, przebudzony, poruszył się nieco i oczy znowu przymknął. Światło raziło go, po długim nawyknięciu do ciemności.

Wątróbka szedł tu przygotowany, bo z kieszeni dobywać zaczął żywo flaszeczki i długie płócienne szmaty. W dzbanie z boku stała woda. Nie pytając Damazego, śpiesznie ukląkł przy nim i ostrożnie ujął go za głowę.

Butrym mruczeć począł.

— Daj mi pokój.

Nie usłuchał tego Wątróbka i galganem w wodzie zmoczonym, obmywać go począł. Nie opierał się temu Damazy. Chłopak dosyć zręcznie opatrywał mu głowę, obwiązał ją, przyłożywszy mokry kawał płótna do niej. Z drugiej flaszki potem w usta zaczął mu coś wlewać powoli. Butrym zakrzuszył się, odepchnął rękę, lecz wnet jak obezwładniony dał z sobą czynić, co chciał Wątróbka.

Wkrótce, po napojeniu tym, Damazy odetchnął silniej, rozsunął się i powieki jego podniosły się ukazując oczy, w których życie jakieś połyskiwało. Zdziwiony, przypatrywał się Wątróbkę, nie wierzyć się zdając własnemu wzrokowi.

Chłopak — Samarytanin z dzieła swojego, zdawał się być rad bardzo, uśmiechał się. Widząc, że Damazy nie opierał się, podniósł z niego poszarpane odzienie, szukając ran, którymi był okrzyty. Wszystkie one prawie, nie zbyt będąc głębokie, poprzysychały same, na piersiach i ramieniu tylko dwie głębsze się zaogniły, które Wątróbka obmywał zwolna i kawałkami płótna pozakładał. Okrył potem opończą podartą Damazego i na klęczkach przed nim, odezwał się:

— Lepiej ci?

— Lepiej. — Wyciągnął rękę drżącą, schwycił dłoń Wątróbki i ścisnął. Chłopak dobył sporą bułkę z kieszeni, rozkrojoną i napełnioną mięsem, gwałtem niemal wsuwając ją w rękę Butrymowi. Z drugiej dostał flaszkę i pokazał mu ją — położył przy nim.

Naostatek, pomyślawszy chwilę, rozwinął stoczek, uciął go kawałek dla siebie do powrotu, a resztę, razem ze skalką, krzesiwem i hubką, oddał Butrymowi, który powoli do życia wracał i przyjmował to wejrzeniem, dziękując mu.

Wątróbka śmiał się, uradowany, położył palec na ustach, obejrzał się w koło — i rzekł:

— Jeśli się uda — przyjdę!

Kiwnął głową i nie czekając podziękowania, pośpieszył z powrotem.

Koliba, zamknięty w swej izbie, kołatał ciągle, klnąc na czem świat stał, dobijał się tak, że stróż przechodzący posłyszał, zobaczył drzwi na skobel zamknięte, otworzył je, niemogąc pojąć, kto się ośmielił tak zażartować ze straszego Koliby. Zamiast podziękowania dostał od niego w kark i został precz wypchnięty. Klucznik wściekły stał u drzwi tych, którymi Wątróbka wszedł do podziemia, czekał i pięść zaciskał, aż paznogie mu się w ciało wbijały.

Stałby był tak aż do powrotu chłopca, gdyby w górze nad sobą, nie posłyszal chodu. Ktoś do jego izby zaglądał. Musiał się ruszyć, aby zobaczyć, czego od niego chciano.

W progu stała, w brudnym tułubku i chustce na głowie, Szurska.

Zobaczywszy ją, Koliba spuścił głowę, spokojniał i zbliżył się, witając. Małomówna stara dała mu znak, aby wziął klucze.

Musiła do tego mieć jakieś prawo, bo Koliba się nie sprzeciwiał, nie drożył, ramionami tylko zżymnął i zamruczał: — Teraz nie.

Starucha obojętnie mu się przyglądała, i jakby nie rozumiała, powtórzyła:

— Klucze.

Koliba, zakrwawione swe białka i oczy przygastę zwrócił na nią. Rozstawił ręce — i pokazał, że w nich nie ma nic.

Szurska nogą tupnęła.

— Gdzie?

Tłómaczenie było tak upokarzające dla Koliby, że wołał się na gniew jej narazić. Powtórnie ręce próżne jej pokazał: — No! niema!

Było to tak niezrozumiałe dla starej, że stanęła patrząc na Kolibę i czekając, aby jej to objaśnił, gdy, poza niemi dał się słyszeć chrzęst otwieranego zamku, potem skrzypnięcie drzwiami. Koliba odwrócił się drżący, gdy w tem przypadł Wątróbka, pęk kluczy w rękę trzymając i po głowie niemi uderzywszy Kolibę, cisnął mu je na ręce, które je drapieżnie pochwyciły.

Zobaczywszy Szurską, z udaną galanterią się jej pokłonił.

— Czołem pani starościnie dobrodziejce — zawołał śmiejąc się. Oż pani tu w tej dziurze porabia? Ja chodzę na nietoperze polować, ale mi się nie udało. Już poczuły nadechodzącą wiosnę, i, co dawniej bywało, wiszące je znajdowałem jak sakwy na ścianach, teraz ani jednego.

Szurskiej ten ton błaznującego chłopaka nie był do smaku.

— Dałbyś pokój! — zamruczała.

Wątróbka ją i Kolibę jednym wejrzeniem objąwszy, uśmiechnął się.

— Jeżeli pani starościnie przerwałem miłą schadzke z tym zachwycającym młodzieńcem (wskazał na straszego Kolibę), boleję mocno. Stało się to bez premedytacji, klnę się.

— Błazen! — wyjąknęła Szurska.

— O schadzce — że nikomu nie powiem, za to ręczę mojem nieszlacheckiem słowem. Takie daję jakie mam, starościna daruje.

Podniósł czapeczkę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

We współczesnej historii sztuki naszej pojawienie się *Hołdu pruskiego* naznacza chwilę dojrzania i wyrobienia się technicznego, która zamyka czasy śmiałości i energicznych pasowań się o czystego geniuszu artystycznego, a zdaje się zwiastować okres dokładnej samowiedzy celów i środków, gruntownego opanowania materjałem i formą, harmonijnego porozumienia pomiędzy danym obszarem motywów a zdolnością wyobraźni do subiektywnego ich przetwarzania w dziełach sztuki.

Jakkolwiek nie pokolenie współczesne artystów naszych, ale dopiero mistrz ich, Matejko, dotarł w najnowszym swoim obrazie do tej skończonoj artystycznej dojrzałości; to jednak sam fakt ten, iż na widnokręgu sztuki rodzimej mógł już dokonać się tak dokładny ustrój sił i środków instytucyj i wiedzy, natchnienia i stylu, że mógł powstać obraz tak harmonijny w pomysle i wykonaniu, tak klasycznie jednolity, spójny i spokojną miarą w każdym szczególe pomysłu, w każdym drobiazgu techniki nacechowany, już ten fakt — powtarzamy — przekonywa, że mija w sztuce krajowej młodzieńcza, burzliwa i niedoświadczona epoka gonialnych lub awanturnicznych tylko wysiłków fantazyi artystycznej, epoka śmiałych prób i bezmyślnych waleśań się po przestworach sztuki, a napływa ów wskazany powyżej okres twórczości dojrzałej, świadomej i spokojnej, prawdziwie męskiej. Można nie zespolic się uczuciem osobistym z wielką ostatnią kompozycją Matejki, można nie znaleźć w niej dosyć pierwiastku malowniczości, a wreszcie porobić nawet uzasadnione i słuszne zastrzeżenia co do niektórych fragmentów obrazu, pod względem układu w odpowiedniej perspektywie, ale niepodobna nie stwierdzić, że „Hołd pruski“ w tym kształcie pomysłu, jaki mu nadał Matejko, jest dziełem w sobie skończonym i doskonałym pod względem ujęcia sytuacji, stworze-

nia całych grup postaci, wydobytych siłą nieomylniej intuicji lub niespożytej erudycji z ram epoki, pod względem otoczenia obrazu atmosferą powagi i spokojnego bohaterstwa, nadania kompozycji cech jasności, prawdy i stylu, a wreszcie rozwinięcia takich bogactw i przymiotów techniki malarzkiej, jakie nie skupiły się dotąd w równie harmonijnej równowadze, w równej sile i oryginalności pędzla, na żadnym z dawniejszych wielkich płócien historycznych krakowskiego mistrza.

Matejko sięgnął tu znowu po jeden z motywów naszej historii, który mógł stwierdzić czystość i siłę moralną tejże. Jeżeli gdzie i kiedy artysta odgadywał i odzwierciedlał ducha przeszłości rodzinnej, to z pewnością „Hołd pruski“ jest najdosadniejszym streszczeniem żywiołów, które składały się na charakter dziejów naszych. Z jednej strony wyobraża on prawosć i dobrą wiarę w polityce, wielkoduszność zwycięzcy wobec pokonanego, ufność społeczeństwa w utrwalenie przewagi swojego wpływu drogą zdobyczy moralnych i niekrwawych; z drugiej strony nieopatrzność rachubę polityczną, nie liczącą się z przewrotnością natury ludzkiej, z egoizmem interesów, z żądzą przyrodzoną człowieka do zepchnięcia sobie z barku wszystkiego, co krępuje zupełną niezawisłość ruchów organizmu, jeżeli tylko ciężar da się zepchnąć. Król Zygmunt I-szy, pomimo, że wśród warunków potęgi, jaką rozporządzała Polska w początkach XVI w., mógł wypłenić zeszczętem w Prusach wschodnich tradycję krzyżactwa teutońskiego i prowincję tę wcielić na zawsze do Polski, jak żądała miejscowa ludność, uniósł się wspaniałomyślnością i przebaczącą wicherzenia i związki Albrechta Brandenburczyka z wrogami kraju, pozwala na sekularyzację tych ziem Zakonu, przyjmuje z dobrą wiarą zapewnienia uległości byłego mistrza krzyżackiego, który nie wahał się dla interesu świeckiego porzucić habit mniszy i obdarza go na rynku krakowskim lennem ziemi pruskiej. W ten sposób kładzie podwaliny pod przyszły rozwój potęgi, która później przyczyniła się do politycznego upadku lennodawczego państwa a dzisiaj zapanowała nad Europą. Gdyby nie ów nieprzebrany zasób „dobrej wiary“ i wielkoduszności; gdyby nie ta „nieopatrzna rachuba polityczna“, niezdolna przewidzieć i zmierzyć przeniewierczych instynktów i samolubnej namietności władzy po stronie przyszłego księcia pruskiego i jego następców: król Zygmunt I byłby zagarnął Prusy i przyłączył je do dziedzicznych ziem Rzeczypospolitej. Wtedy historia Europy środkowej potoczyłaby się inną koleją, na rynku krakowskim nie składałby Albrecht pruski swego „hołdu“, który wydał się tak świetnem stwierdzeniem potęgi polskiej w XVI w., ale możebyśmy o owych czasach rzeczywistej siły państwowej nie rozmyślali dzisiaj w skrusze i upokorzeniu, jako o starych legendach i mytach.

Obraz Matejki na olbrzymiem płótnie, mierzącym 388 centm. wysokości a 785 centm. długości, przedstawia chwilę, gdy na rynku krakowskim, tuż obok Sukiennic i kościółka ś. Wojciecha, namyślnie w tym celu wzniesionej i szkarlatnym kobiercem pokrytej estradzie, wśród dostojnego grona biskupów, dygnitarzy dworskich i koronnych, dyplomatów i hetmanów, król Zygmunt I w d. 10 Kwietnia 1525 r. odbiera przysięgę hołdowniczą od Albrechta Brandenburczyka, świeżo kreowanego księcia lennego Prus Wschodnich, tudzież dwóch braci jego, książąt Anspachskiego i Lignickiego. W samym środku obrazu, na aksamitnym taburecie usiadł Król Polski, ubrany w złocistą kapę i fioletową dalmatykę, na kolanach złożył Ewangelię a prawą rękę wyciągnął przed siebie, niejako na głowę klęczącego Albrechta zlewając błogosławieństwo królewskie. Wypowiada on w tej chwili słowa inwestytury, a stojący tuż poza nim biskup Tomicki z pergaminu czyta rotę przysięgi. Postać Zygmunta, nietylko jest z natury aktu najwybitniejszą w obrazie, ale i pod względem pomysłu artystycznego stanowi najpiękniejszy jego szczegół. W tej potężnie sklepionej, szlachetnie wymodelowanej, energią i spokojem wypiętnowanej twarzy, maluje się to wszystko, co stanowi mogło streszczony typ monarchy polskiego w stylu Zygmunta. Może nie wyglądał on tak zupełnie, jakim go wytworzył Matejko, ale jeżeli o ideał

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

króla Rzeczypospolitej, łączącego wielkość serca z mądrością, siłę samowiedzy mocarza z łagodnością, powagę majestatu z prostotą człowieka, mogło tu chodzić artyście więcej, niż o portretowe podobieństwo indywidualnych rysów, to Zygmunt Matejki ma w twarzy, geście i wyrazie swoim te wszystkie czynniki, które na tak pojęty i z naturą tradycyi historycznej zgodny ideał złożyć się musiały. Jest to Cezar rzymski—bo silny, monarcha chrześcijański—bo łagodny, w każdym calu mocarz—bo okazały. Słowianin—bo prosty i szczerzy. Czuje on majestatyczną ważność chwili; cały pochłonięty uroczystością ceremoniału, wszakże bierze go ze strony poważnej, bo przystępuje doń z całą wiarą serca: ztąd namaszczenie się jest naturalne, wolne od patosu i żądzy wywarcia efektu. Postać Zygmunta jest przepysznym studjum akademickim, jako portret w wielkim stylu historycznym.

Podobnie i Albrecht Pruski zamyka w sobie niejako programmat polityczny przyszłego systemu, któremu Prusy zawdzięczają wiele swoich dawniejszych i świeższych powodzeń. Twarz to piękna, długą czarną brodą przedłużoną, z piętnem surowej sztywności i sprężystości ducha, który potrafi być niezłomnym w pieczy o swój interes, chociaż moralność i sumienie na innej zostały drodze. Malarz mniej głęboki i myślący, niż Matejko, możeby z większą realistyczną expressją na twarzy Albrechta wypiętnował naturę przeniawierczą, możeby historią przyszłą rozwoju Prus ściągnął na płótno i w Albrechcie popularniej, dosadniej uprzytomnił ten systemat i tę wiarę polityczną, która niebawem ujawniła się tak szkodliwie dla Polski i przekonała optymistów, że przyjęcie „hołdu pruskiego“ było błędem historycznym. Albrecht byłby bardzo tuzinkowym cynikiem, gdyby wyobrażenia swoje o własnej przyszłej roli wcielał w jakieś grymasy chytrłości i obłudy, widome dla ogółu. U Matejki jest to postać posągowa, jednolita, zamknięta w sobie—rycerz i—sfinx. Co on myśli w tej chwili—o tem oprócz jego sumienia nikt nie wie; zagadkowość postaci jest najpotężniejszym jej rysem psychologicznym. Łatwiejszymi w wyrazie są obydwa bracia jego. Książę Jerzy Anspachski, znany hulaka, o pięknych, malowniczo rozwiniętych jasnych kędziarach, w atłasowej, jasno-niebieskiej sukni, tłumaczy wymownie swą zmysłową, brutalną naturę, tudzież lekkoduszność, z jaką przyjmuje przypadającą nan część zobowiązań moralnych z przysięgi, z którą się łączy, trzymając z „rąbek chorągwi pruskiej, wiejącej nad głową Albrechta. Nie patrzy on nawet na króla—pożądliwym okiem sięga może raczej piękne niewiasty, z dołu przypatrujące się barwnemu widowisku. Książę Lignicki, o krótkich, czarnych lokach na głowie z przystojną twarzą, zdradzającą żywy temperament i płochą, nierefleksyjną pochopność, zbliża się również do chorągwi i umuje ją lekkim a posuwistym ruchem.

Matejko nie włożył w tę grupę nic takiego, co by nie wpływało bezpośrednio z natury sytuacji: pojął on ją w stylu czysto-epickim; jak epik opowiada i kształtuje przedmiotowo zdarzenie, własne uczucia i wyobrażenia usuwając z toku opowieści, tak Matejko malował. Komentarz natomiast historyczny i że tak powiem, serdeczny, do sytuacji odtworzonej pędzlem złożył w postaci Stańczyka, który u niego zwykle stanowi żywioł liryczno-satyryczny. Stańczyk usiadł poniżej króla na stopniach szkarłatnej estrady, w błazeńskim berecie z dwoma dzwonkami, i smutną, melancholijnie, zadumaną głowę oparł na prawej ręce, palcem zamkniętą sobie usta. Expressya twarzy Stańczyka, ten rzewny, niemal zrozpaczony wyraz oczów, błędnie w dal tajemniczą rzuconych: to jest właśnie ów pesymistyczny rezultat historii, owe zabiadanie przyszłych pokoleń nad nieopatrznością pomyłką narodu, w owej zewnętrznie tak świetnej, tak tęczowo ułudnej chwili. Melancholia Stańczyka, to nie jego własna już boleść i rozpacz: to subiektywny ból malarza-myśliciela, który w ten sposób liryczny stwierdził wyrok wydany przez bezstronny sąd dziejów *a posteriori*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nekrologia. — Groby. — Pustelnik z Kaprery. — Garibaldi. — Życie na Caprerie. — Zmarli w Dreźnie: Grüner, Dr. Hettner, Clauss. — Wystawy obrazów. — Malarze ukoronowani i pisarze. — Obrazek królowej. — Panna Zofia von Torma, jej prace archeologiczne i życie. — „Z życia Maryi Antoniny“ przez J. de St. Amand. — „Studia“ H. Bentzona. — Pisarze angielscy i amerykańscy. — Samarow. — Beecher Stowe. — Humoryści i poeci. — Outda. — „Jeruzalem“ księcia Lubomirskiego.

Jeden po drugim otwierają się groby ludzi, których imiona długo świeciły w społecznym na rozmaitych drogach pracy i walki. Longfellow, Emerson, Darwin, Garibaldi, nie licząc mniej głośnych i znanych, jeden po drugim zeszli w świat cieniów—i stoją przed sądem potomności. Żywe te niedawno postacie przeistaczają się powoli w owe legendowe widma, które w bardzo krótkim przeciągu czasu przybiorą oblicze nowe. Jak prędko zapominają się i metamorfizie pozgonnej, apoteozie lub zniszczeniu ulegają umarli: patrzymy na to nieraz z podziwem i smutkiem. Z człowieka zostaje tylko materiał i temat do stworzenia ideału lub karykatury.

Śmierć ostatniego, pustelnika z Caprery, tak żywe wywołała współczucie na półwyspie włoskim, a nawet w Anglii, Francji i Ameryce, że je prawie bezprzykładnem nazwać można. Był też to, jeden z najoryginalniejszych ludzi swojego wieku, osobistość tak wybitna i odrębna, jaka się rzadko spotyka na świecie.

W losie jego powtarza się niemal los tej Italii, która na polu walki zawsze prawie zwyciężona, nawet z klęsk swych zbiegłiem okoliczności wychodziła zwycięsko.

Świeżo jeszcze starzec przyjmowany z taką czcią w Palermo, niewiele przeżył tę godzinę pociechy. Powrócił na swą wysepkę skalistą, aby zamknąć oczy na wieki. Oddawna już złamany na ciele, może tylko prostocie życia winien był przedłużenie go. W ostatnich latach, nie z zasady ale z niesmaku do mięsa, żywił się tylko pokarmami roślinnymi. Pobyt w Ameryce, gdzie samemu prawie suszonem mięsem karmił się było potrzebą, pozostawił po sobie ten wstręt nieprzełamany.

Dopóki sił stało, stary pracował jeszcze w ogródku, w którym każde drzewko i krzaczek potrzeba było osłaniać murem od afrykańskiego słońca. Na Caprerie miał wprawdzie swobodę zupełną, był sam—ale mniej przyjemnego i zdrowego klimatu nie mógł sobie dobrać.

My także w Dreźnie, z naszych saskich znakomitości straciliśmy kilku ludzi, których trudno będzie zastąpić. Długoletni dyrektor zbioru sztichów i rysunków Grüner, zmarł przed kilku miesiącami; teraz za nim poszedł znakomity znawca i dziejopis sztuki, który tu ją wykładał w różnych instytucjach, pisał o niej i miał dobrze wysłużone imię, Dr. Hettner. Oprócz tych dwu zaledwie mianowany w miejsce ustępującego Dra Grasse nowy dyrektor zbioru monet Dr. Class, miesiąc jeden nowe stanowisko swe zajmując, zmarł także niespodzianie. Dra Hettnera szczególnie, który był bardzo czynnym, uzdolnionym i pracowitym zastąpić będzie trudno i spadkiem po nim kilku się podzielić musi. Jak zawsze, jak wszędzie, spuścizna jest przedmiotem walki, dobiega się o nią wielu.

Wspominałem, zdaje mi się, że mamy tu doroczną wystawę obrazów i dzieł sztuki, która w tym roku zbyt świetnie wypaść nie mogła, bo jej wiekańska i już gotująca się berlińska, odciągnęły artystów wielu. Nie ma też Dreźnie już dawnej siły atrakcyjnej, bo zmniejszyła się liczba cudzoziemców, to jest nadzieja sprzedaży, która jest głównym bodźcem dla artystów.

Wielkie i uderzające płótna, te ogromnych rozmiarów dekoracyjne kompozycje, które dziś są w modzie, choćby się nawet sprzedać nie mogły, dla wysokiej ceny i trudności pomieszczenia, mają sposób wynagrodzenia artysty, z pomocą wystaw z kolei po wszystkich stolicach, które często więcej przynoszą niż sprzedanie samego obrazu. Mniejsze obrazki, częstokroć równające się swą

wartością rzeczywistą olbrzymim machinom, muszą szukać kupca, o którego nie łatwo. Ameryka na paryskim targu artystycznym corocznie płaci od 600 do 800,000 dolarów za płótna; z Niemiec też wiele odpływa do Stanów-Zjednoczonych. Miejscowy odbył bardzo jest ograniczony.

Oprócz wystaw na Brühlowskim terrase, druga w pałacu na Taschenbergu, urządzona staraniem królowej, na korzyść zakładów dobroczynności, kończy się z tym tygodniem. Będzie ona rozlosowana. Główną wygraną stanowi obraz Mackart'a (Sub rosa) i—widoczek z Mentone, gdzie królowa przebyła część zimy, przez nią samą malowany. N. Pani lubi malarstwo i zajmuje się nim w chwilach wolnych, tak jak żona księcia następcy tronu pruskiego, z tą różnicą, że królowa Karolina jest pejzażystką, a księżna Wiktoria uczennicą d'Angeli'ego i maluje portrety. Wiadomo, że Król Szwedzki, jak nieboszczyk brat jego, jest także poetą, jest nią Królowa Rumuńska, jest księżką Jerzy Pruski, a rodzina królowej Wiktorji po ojcu wzięła talent artystyczny i miłość sztuki; Król Portugalski tłumaczy Shakespeare'a i t. d. Do tego spisu ukoronowanych dyletantów, pozwolimy sobie niemniej excentryczną dołączyć osobistość: starą pannę, szlachciankę węgierską, której wykopaliska, odkrycia i prace, dziś wszystkich archeologów zajęcie i podziwienie obudzają. Jest nią panna Zofia von Torma¹⁾.

Na tem polu archeologii nie jest ona wprawdzie jedyną, bo na zjazdach i kongressach, spotkaliśmy oprócz pani Schliemann, która gorliwie mężowi dopomaga, pannę Anielę Virchow, córkę słynnego doktora i wodza postępców niemieckich; pannę Johannę Mestorf, zajmującą posadę kustosa muzeum w Kiel, i kilka innych. Odnacza się jednak p. Zofia Torma tem, że poszukiwania jej obiecują rzucić zupełnie nowe światło na pierwotną cywilizacyą Węgier. Siedmiogrodzia i krajów sąsiednich. Panna Zofia jest córką węgierskiego szlachcica i historyografa swojego kraju. Wykopaliska rzymskie ojca dały zapewne pierwszy popęd córce do zajęcia się starożytnościami. P. Karol Torma, ojciec, później obergespan swojego komitatu, poszukiwał szczególnie szczątków rzymskich osad w kraju i odkrył szczątki drugiej stolicy Dacyi. W Budzie odkopał pierwszy ruiny starożytnego Aquincum i dał pochop do nowych poszukiwań. Córka jego skierowała szczególnie swą baczość na ślady i pozostałości epoki neolitycznej (gładzonego kamienia). Pierwsze swe wychowanie w rodzicielskim domu winną być matce, osobie wykształconej, która ją wcześniej odumiała. Później kończyła nauki w instytucji prywatnym w Szathmar. Starszą siostrę mając zamezną, zamieszkała u niej p. Zofia i przez lat siedmnaście była jej pomocą w wychowaniu dzieci. Później, ażeby bliżej być rodziny, opuściła ojczysty swój komitat i przeniosła się do Hunyadzkiego, nabywając dom w Broos.

Tu oddała się całkiem już poszukiwaniom trzejciorzędowych pokładów i zawartych w nich szczątków życia tej epoki przedhistorycznej. Zbiory p. Zofii Torma, archeologiczne i fauny, doszły już do poważnej liczby 15,000 przedmiotów. Znaczniejsza część poszukiwań tych musiała być przedsiębraną na ziemi przez Rumunów zamieszkałej, którzy niemałe stawili przeszkody, z powodu przesądu, iż kopanie ziemi nieurodzajną ją czyni. Energiczna panna umiała wszystko to przezwyciężyć.

Najciekawsze wykopalisko było w Tordas, niedaleko Broos. Miano w początku zabytki osady tej za rzymskie; p. Zofia dowiodła daleko większej ich starożytności. Znalazły się tu gliniane posążki, szczątki naczyń, a, co najważniejsza, cylindry z tufu trachitowego z napisami, najzupełniej nietylko podobnymi, ale jednostajnymi z pismem syllabowem Małej Azji. Wschodnie więc pochodzenie najpierwotniejszej cywilizacyi Siedmiogrodzia nie ulega wątpliwości. Z pomocą słynnego profesora Sayce w Oxfordzie, udało się te znaki rozpoznać i zdeterminować jako pismo (nie cypryjskie jednak), ale wschodnie, syllabowe.

1) Wspominał już o niej *Bluszcz* w *Kronice działalności kobiecej*.

Panna Zofia Torma pracuje właśnie nad dziełem, które owoc jej długich poszukiwań zawierać będzie, a na które z wielką ciekawością wszyscy oczekują.

Dodać jeszcze potrzeba, że znakomita uczona u siebie w domu jest kobietą, w której-by się wcale uczoności tej domysleć nie można: pełną prostoty i uprzejmości w obejściu się, i równie żywo zajęta teraźniejszością, jak epoką neolityczną. Do budowy szkółek, do zakładania artystycznych instytucyj, do szkółek dobroczynnych czynnie się przykładą — i jest wszędzie, gdzie trzeba coś dla pożytku powszechnego zawiązywać lub podpieierać. Takich starych panien na świecie niewiele.

(Dokończenie nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Maju 1882 r.

Sezon wiosenny. — Proces Ringtheatru. — Pierwszy salon wiedeński. — Calderon w Burgu. — *Die Karolinger Wiltenbrucha*. — Wystawa Samojedów. — Egipt w panoramie. — *Obóz Wallensteina*, jako majówka.

(Dokończenie).

W innym, najżywiej zwykle publiczność zajmującym świecie sztuki, w teatrze, panował tu wielki ruch. W operze gościnne występy rozmaitych znakomitości i wznowione przedstawienie *Don Juana* Mozarta; w Burgu dwie nowości — rzecz bardzo rzadka. Nowy dyrektor, poeta Wilbrandt, zamierzył widocznie podnieść poziom repertuaru. Czyni to przez pielęgnowanie arcydzieł klasycznych niemieckich, angielskich i greckich; obecnie sięgnął też do Calderona. *Sędzia z Zalamei* w bardzo dobrem przyswojeniu Wilbrandta jest jednym z tych utworów, które siłą i oryginalnością charakterystyki osób, obok bujności dykcji, zawsze będą na scenie pożądanymi i muszą się podobać. Ścisłe hiszpańska odmienność całego prowadzenia rzeczy, jest nawet kordyalem dla publiczności. Na wypadek, gdyby chciano kiedy u nas dramat ten przedstawiać, radziłbym użyć pod względem scenicznego przystosowania tej pracy Wilbrandta.

Nareszcie pojawił się i jeden nowy oryginalny dramat, nietuzinkowy, Wildenbrucha *Die Karolinger*. Zdaje się, że autor, urzędnik pruski, młody jeszcze, ma talent i warunki na to, żeby może odświeżyć tradycją dramatycznej wytwórczości niemieckiej. Samo zerwanie się na rzecz wielką świadczy już o pewnej sile. Rzecz dzieje się w r. 840, epoka starofrankońska, dwór Ludwika Pobożnego w Wormacji. Osnowa i rysy jej główne mają podobieństwo do czasów polskich z epoki podziałów po Bolesławie Krzywoustym. Sejm ma uchwalić podział państwa; cesarze chrześcijańskiego wszechświata, ilekroć państwo złączyli, znowu je między dzieci rozdzielali, a towarzyszyli tym podziałom wojny domowe, okrucieństwa, zbrodnie. Cesarz Ludwik podzielił był państwo między trzech synów z pierwszego małżeństwa: Lotara, Ludwika i Pipina, lecz później z drugiej żony młodej Judyty otrzymał jeszcze syna Karola. Ma on w sztuce lat szesnaście. Ojciec i matka, która przy boku sędziwego króla tylko w synu żyje, boją się nad tem, że dla niego niema korony. Judyta nalega, żeby podział został zniesiony, szlachta i duchowieństwo są przeciwni, obstają przy przysiędze, nie chcą wojny między braćmi. Wdaje się w sprawę hr. Bernhard z Barcelony, mianowany kanclerzem państwa za zwycięstwa nad Maurami. Jestto człowiek nieograniczonej ambicji, kochający przytem jeszcze Judyte; kochał on ją, gdy była jeszcze panną, córką tylko równego mu szlachcica, wydarła mu przez cesarza. Teraz opanowała go żądza: Karolingów wszystkich tronu pozbawić, a dla siebie go zdobyć wraz z ręką cesarzowej. Nie waha się poświęcić przytem Maurytanki Hamateliwy, która go kocha, która go z niewoli uwolniła i towarzyszy mu wraz ze sługą Abdallą, przyjąwszy chrześcijaństwo. Kiedy cesarz pod naciskiem wasalów ostatecznie

odmawia korony najmłodszemu synowi, Bernard korzysta z chwili, ofiaruje Judyte swoją pomoc, żądając w zamian jej miłości. Judyta dla losu syna — przyjmuje układ. Spisek uknuty, sejm ma zatwierdzić nowy podział, Lotar i Ludwik są obecni, a Pipin nadciąga z wojskiem akwitańskim, ażeby w razie potrzeby cesarza-ojca uwięzić i sejm rozpędzić. Donosi on o tem sejmowi przez Maurów, posłów ojca Hametiliwy, którzy przybywają odebrać jego córkę. Bernard wprowadza ich na sejm, cesarz i sejm, oburzeni groźbami Pipina, uchwalają nowy podział, Lotar i Ludwik wygnani, Karol otrzymuje koronę, cel życia Judyty spełniony: teraz Bernard śpieszy po swoją zapłatę. Ale odgadła zdradę Hamateliwa, chce się pomścić; Bernard usuwa ją z drogi sztyletem. Teraz jeszcze chce cesarza usunąć, który już uwikłany jest w wojnę ze starszymi synami. Cesarz zabija powolną trucizną dostarczoną mu przez Abdallę, ale Karol godzi braci, sprowadza ich po ostatnie błogosławieństwo do ojca. Wtedy Abdalla, który czekał tylko sposobności pomszczenia swojej pani, wykrywa przed czterema Karolingami cały spisek i hańbę Bernarda i cesarzowej; synowie zabijają Bernarda, Judyta umiera, Karol otrzymuje dział Pipina, który zginął, bracia się godzą, Lotar zostaje cesarzem. Jestto treść bogata, pełna efektów, postaci wyraziste, są ludzie żywi, jest prawdziwy talent autora. Lecz są i słabe strony, szczególnie pod względem niedostatecznego wykończenia postaci Judyty. Wręcz nieprawdopodobnym jest to, żeby matka przez miłość dla syna zapominała o honorze i na zimno, bez kolorytu krwi czy miłości puszczała się na bezdroża. Wogóle jestto za ryzykownem, żeby miłość matki hańbą się okupywała. Dykcja jest często nie-naturalna, naciągana, na zimno robiona, jest silenie się na koturnowość, wynikające z ciągłych reminiscencji autora; są i sceny wprost pożyczane. Sam główny bohater Bernard jest modelowany podług *Ryszarda III*. Znajdują się też przewlekle, które nużą, psują i osłabiają wrażenie. Niemniej jednak jest to utwór głębszy, mający wiele wartości, jedyny tego rodzaju od kilku lat w Niemczech.

Wspomnieć mi wypada, ale tylko dla tego, że czytelniczki *Bluszozy* znają powieść *Wally orlica*, że grano przerobienie jej sceniczne w Stadttheater, ale bez żadnego powodzenia. Siła, poezja, oryginalność powieści zupełnie znikły w tuzinkowym przerobieniu, dokonanem szablonowo przez córkę s. p. Birchpfeiferowej.

Z życia, z sezonu, trzy rzeczy warto zaznaczyć.

Wystawa Samojedów przenosi nas jakby w czasy przedhistoryczne. Wszystko tu pierwotne, ludzie, ich zaprzęgi, ich broń, ich naczynia, ich ubiór. Są oni nocy, krepni, muskularni, ręce i nogi maleńkie, twarz koścista szeroka, nos i czoło spłaszczone, oczka żywe, krzywo umieszczone, na głowie ciemne — nie włosy, ale grzywy. Ci mieszkający najdalej Północy wiedzą życie koczownicze, muszą się tulać szukając żywności, paszy dla reniferów, które są ich opatrnością. Nie oni reniferów, ale te ich wiodą. Mieszkaniem ich namiot ze skóry reniferów, zawieszony na rusztowaniu z drągów. W środku wisi kociołek, pod nim ogień, wokoło worki z zapasami ryb, mięsa i ziół czy trawy dla reniferów. Całe ich bogactwo kilka toporów, noży i strzelb, które mają od ludów cywilizowanych. Są oni małomówni, zamknięci w sobie, a raczej mało myślący, względem obcych podejrzliwi, uporeczywi w trzymaniu się tradycji, nieprzystępni dla cywilizacji, lubo pokrewni im Lapończycy i Finnowie przeobrażają się pod jej wpływem. Widać, że Samojedzi przetrwali na swoich mroźnych pustyniach przez wieki, nie zadając się, nie mieszając z innymi więcej rozwiniętymi ludami, nie ulegli burzy wędrowek ludów, ani naciskowi zdobywców, którzy do nich nie docierali. Istnienie ich jednostajne, codzienna walka z niedźwiedziami i niebem polarnem: to ich jedyna historia; są oni, tak jak Grenlandczycy, nie narodem, ale zbiorowiskiem rodzin, etnograficznym tylko okazem, skazanym na wymarcie. Ma ich być jeszcze 15,000. Zdaje mi się, że para małżeńska wraz z synkiem swoim nie zechce już wrócić w strony podbiegunowe.

Nowa panorama w Praterze, wielki budynek

okrągły, przedstawia w obrazach braci Wanters, prawdziwie artystyczne widoki Egiptu. Złudzenie polega perspektywie, gdy przedmioty naturalne, n. p. mur, zlewają się z malowaniem dekoracyjnem ciągnącym się naokoło, tak, że widz podróż niejako po Egipcie odprawia. Kair, orszak Kedywa, jarmark, wielbłądy, konie, murzyni, mulaci, drogi, wody, Nil, piramidy — wszystko wydaje się jak prawdziwe, naturalne, wypukłe. Rodzaj ten panoramy, bardzo zajmujący ma już w Paryżu, w Bruxelli wielkie powodzenie. Jestto dla publiczności bardzo przystępna, a nauczająca uciecha, a dla artystów wdzięczne pole pracy — można i talent okazać i dobry zrobić interes. *Wartoby i u nas o tem pomyśleć*. Im więcej zwyczaj i obyczaje w całym świecie się niwelują, tem większy ludzie okazują żal za różnicą i oryginalnością minionych wieków. Ztąd się biorą coraz częściej urządzone historyczne pochody, karuzele, bale. Taką też majówkę wyprawiła sobie młodzież akademii sztuk pięknych. Na Kahlenbergu urządziła ona według Schillera *Obóz Wallensteina* z całą prawdą historyczną, a z całym humorem młodości. Było to widowisko rozkoszne, namiotów trzydzieści, grup osobnych dwadzieścia, batalia, napad Szwedów, tańce, huk i rumor obozowy, cesarz z całym dworem, Wallenstein ze sztabem, piechota, kawaleria, artyleria, pikinierzy, halbardnicy, strzelcy, Kroaci, Pappenheimery i *chevaux legers*, muzykanci, kapelani, ciury, marodery, markietanki, felcerzy, poselstwo szwedzkie, namiot werbowniczy: wszystko *ad formam*, wiernie i z fantazją, z udziałem skorych do zabawy Wiedeńskich, ubranych według otrzymanych rysunków. Z zabawą złączyła się szkoła kostiumów; temata żywe, historyczno-rodzajowe dla artystów, podnieca dla fantazji wyborna. Jako próbkę humoru przytoczę ustępy z proklamacyi cesarskiej, którą w języku XVI w. tajny pisarz obwieszczał oprowadzany po obozie na kościej szkapie:

„W imieniu J. C. M. wielka rada wojenna siedząca w Wiedniu, na czem przynależy, obserwując surowe wojenne rzemiosło zawsze jako krotocwilną imprezę, obwieszcza wszystkim wiernie około chorągwi służącym, że gromy Pańskie spadną na każdego, któryby zapominał o wszelkiej ludzkości, na rabunek i złodziejstwo się podawał, i tem tak się zachowywał, iżby czyny jego sprośnymi były, jakoby od psa chlewnego pochodząc, aniżeli od człowieka. I ustanowiony został trybunał do sądenia sprawek waszych, a kary które zadawać ma, srogo będą boleć, jako to:

„Niektóry, zawsze wielkie obrazy malujący, ma być na śmierć głodową skazany, iżby z głodem całe życie walczyć nie potrzebował, głodowi bowiem popadnięty jest, jako ci obrazów jego nikt nie kupi. Niektóry kieszkie pejzaże, albo schody malujący, skazan jest po nich spacerować, iżby srogiej ztąd doznał męczarni.

„Niektóry sztuce niezycielwy ma być zaraz powieszon, a z nim wszystkie jego przyjaciół i nago krukowi na pożarcie rzuceni — co będzie pyszynem tematem do historycznego obrazu.

„A obok chorągwi sztuki ma być wysoko trzymana chorągiew humoru, który to towarzyszy nie tylko ciało i duszę utrzymuje i rzeźwi, ale poszanowany by winien, iżby się nie zamienił na smoka żółci i wątroby, co niejednego już wesołego człowieka pożarł jest. Dlatego w obozie macie krzyczeć, ile tylko wasze przepite gardzienie nastarczą i t. d.“

Była to majówka prawdziwie młoda, a zapewne lepsza niż zwykle studenckie knajpowanie. Oczywiście, co się który professor pojawił, został porwany do namiotu werbowniczego, musiał przysięgać i dostał ubiór rekruta. Szczęśliwa to i prawdziwa Arkadya!

MARYA SITTÓWNA.

Miło nam, gdy się pozna artystę z pobratymczego nam narodu, a zatem, hołdującego, oprócz sztuki, sympatycznym dla nas ideałom, mówiące-

go zbliżoną do naszej mową. Milej stokroć jeszcze, gdy względem tego artysty, oprócz przyjaźni dla brata, uczuwać możemy prawdziwy szacunek jako dla wysoko wyrobionego talentu. Takiego wrażenia doznaliśmy, gdy prima donna czeskiej narodowej opery, Marya Sittówna, przybyła do nas na występy gościnne w teatrze. Wience i bukiety, jakimi obsypano artystkę zaraz przy pierwszym jej wyjściu na scenę w *Normie*, okazały się prędko w wysokim stopniu zasłużonemi. Wprawdzie Marya Sittówna, nie władając organem tak potężnym, aby tenże według jej woli wstrzymywał zapalczywych Gallów od walki z Rzymem, lub ich do niej zagrzewał; ale mezzo-sopran jej ma szlachetne brzmienie, dźwięczność, świeżość; dykcja zaś, lubo nie porywająca demonicznym ogniem, ma jednak zapał i wyrazistość. Przytem szkoła wyborna, nigdzie forsowania nut niepotrzebnego, nigdzie uganiania się za jaskrawym efektem, wszędzie dużo uczucia, wokalizacja przytem biegła i poprawna. Cała *Norma* szła wogóle dobrze, może najlepiej pod względem całości ze wszystkich wieczorów, w których nasz gość występował; prawda, że w *Normie* najmniej występowało osób. Pan Cieslewski bardzo zadawałajac śpiewał Polłona; pani Lewicka była poraż pierwszy, ale bardzo dobrą, Adalgisą; Tamburini jako arcykapłan, świetnie się przedstawił. W *Hugonotach* liczniejszy komplet personelu nie dozwolił na taką dokładność wykonania. Ślicznie śpiewała Marya Sittówna w *Fauscie*. Jest to artystka widocznie bardzo szanująca sztukę i bardzo wnikać lubiąca w psychiczną stronę charakterów—i dlatego zrozumiała, że ta idealna Gretchen, jak ją narysował Gounod, działa w wielkiej części nieświadomie, idąc za owym nieprzepartym instynktem serca, który tem silniej działa, im bardziej zbliżamy się do naturalnej prostoty. Tak pojęta Małgosia jest dopiero prawdziwie sympatyczną i typową. W *Żydówce* widzieliśmy znowu typ gorętszy, ale niezmiernie liryczny, nie pozbawiony jednak patetycznej siły. Wogóle artystka ta nie stawia nas od razu na krawcach dramatyczności—jest ona powściągliwą, czasem zanadto; zaczynając od liryzmu, wkracza stopniowo w dramatyczność i dochodzi do silnych nieraz efektów. Polskie i czeskie pieśni śpiewała przesłownie, szczególnie pieśń: „Schodovani se“ cudownie brzmiała. Melodya to prosta, ale wcale nie banalna, trzymana cała w medium głosu, to jest w najpiękniejszych z pewnością nutach panny Sittówny, której wszelako cała skala głosu brzmi bardzo równo i pięknie. Jako aktorka odznacza się również artystka wielką szlachetnością ruchów, przejęciem i widoczną sumiennością. Dodać jeszcze winniśmy, że p. Sittówna śpiewa *ciagle*, nie oszczędzając się, ani w ensembalach, ani w recitativach. Niechże jej będą dzięki za odwiedzenie nas, i niech te dzięki serdeczne zawiezie Prażanom pobratymcom!

Jan Kleczyński

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

P. Wanda Podgórska z Warszawy otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie, który *Literackie Koło* lwowskie utworzyło, na popularnie skreślony życiorys króla Jana Sobieskiego. Nadesłano prac 10, z tych usunięto od konkursu dwie; jedną z dewizą: „Olesko-Wilanów“ jako spóźnioną; drugą z dewizą: „Piotrowin“, jako poprzednio już drukami ogłoszoną. Rękopismo z dewizą: „Człowieku, sługo wieczny“, a które okazało się po otwarciu koperty dziełem p. Podgórskiej, otrzymało nagrodę. Sędziami konkursowemi byli pp.: Dr Kętrzyński, Dr Kubala, Dr Małecki, Milowicz, Dr Ochorowicz, A. Wilczyński, Dr Wojciechowski i inni.

Na warszawskiej Wystawie inwentarza, otrzymały nagrody: za konie wierzchowe hr. Marya Potocka z Antonina dwa medale: złoty i srebrny; hr. Marya Stadnicka z Deneszowa medal srebrny; hr. Ludwika Działyńska z Trajanowa medal sre-

brny i list pochwalny. W dziale drobinu otrzymała p. Izabella Ryxowa z Prażmowa pod Warszawą, medal złoty, za ogół okazów swoich, które były liczne, i zaznaczały się szczególnymi zaletami pożyteczności gospodarczej; kaczek pekińskich przedstawiała wystawczyni sztuk 76, oraz pierze z takichże kaczek, odznaczające się zaletami wyższymi niż pierze kaczek zwykłych. Również kaczki same duże, mięsiste, smaczne i łatwo tuczone, mogą służyć za zyskowny przedmiot gospodarstwa. Obok tego przedstawiła ona kur 50, i kurecząt 52 bramaputra kochinchińskie, tak zwane kuropatwiane, a okazy te przedstawiają podobne kaczkom zalety: są duże i mięsiste; pani Ryxowa otrzymała też za ich hodowlę medal srebrny i takiż medal za grupę trzody Yorkshire. Pani Marya Reichlowa z Zamościa (gub. Piotrkowska, powiat Brzezinski) otrzymała list pochwalny za piękne gęsi stepowe, zwane łabędziowemi, bardzo piękne i z wyższymi zaletami upierzenia.

Na jarmark wełniany dostawiło do Warszawy wełnę pań siedem, a mianowicie: hr. Ostrowska z Korczowa, p. Marya Jasińska z Bruss, p. Tuczynska z Kawęczyna, p. Natalia Kieka z Jaszczowa, p. Bronisława Lasocka z Milanówka, hr. Marya Przeddziecka z Fałecic, hr. Załuska z Łazisk.

Na wystawę róż zapisała się wystawczyni jedna: p. Józefa Wyszomirska, mająca wystawić różę w kwiecie.

Ma wyjść w Ameryce poangielsku i jednocześnie w Paryżu po francuzku książka pod tytułem: *La condition de la femme en Europe*. Składać się ona będzie ze szkiców oddzielnie o każdej narodowości kreślonych głównie przez kobiety i zaproszono do tej pracy panie piszące: z Anglii M-rs Fawcett, z Niemiec pp.: Schepler Lette, i Maryą Calm, z Norwegii p. Collet, z Polski p. Elżbę Orzeszkową, z Rosyi M. Boborykin, ze Szwajcaryi Maryą Goegg, ze Szwecyi Rozalią Olivecronę, z Włoch księżnę Dora d'Istria, Folliero de Luna i Mozzoni. O Austrii pisać będzie mężczyzna: M. Wenet. Francya nie jest wymieniona, co zapewne jest spowodowane przypadkowym opuszczeniem, lub niewiadomością korespondenta.

DROBNE LISTKI.

Muzeum historyczne w Turynie mieści między mnóstwem pamiątek wypchanego konia; jasno-kasztanowaty, nie duży, ze zgrubiałemi w kolanach nogami, dziwnie uderza wzrok zwiedzającego, lecz przewodnik opowiada z uszanowaniem, że to jest koń Karola Alberta i że król dosiadał go w bitwie pod Nawarą. Nie poniósł go do szczęścia i chwały, ale tak monarcha, jak koń jego pod nim, stali na wyłomie losów, na celu kul nieprzyjacielskich i gdy po przegranej bitwie Karol Albert, zesiadłszy z niego, musiał uchodzić na wygnanie, Wiktor Emmanuel zainteresował się tkliwie losem ojcowskiego konia, zabronił, aby już nikt nie dosiadał go nigdy, kazał pieczołowicie utrzymywać w stajniach królewskich, gdzie, przeżywszy swego pana, doczekał się rzadkiego dla konia wieku 34 lat i często odwiedzany przez Wiktora Emmanuela, głaskany pieczołowicie, karmiony był paszą najdelikatniejszą, gdy wiek zaczął odbierać mu zęby. Znał króla, witał go zawsze podniesieniem łba, który kładł mu potem na wyciągniętej ku niemu dłoni i wszyscy widzieli, że patrzy na niego wzrokiem smutnym, jak gdyby pamiętał przeszłość i czuł położenie. Jednej nocy masztalerze usłyszeli, że zarżał kilkakrotnie, i znaleźli go rano nieżywym; wypchany potem starannie, stoi teraz pod sklepieniem marmurowym, z uzdą na karku i siodłem na grzbiecie, jak gdyby czekał na tego, którego już też nie obudzi nigdy żaden dźwięk trąbki bojowej. Znać na nim wiek zgrzybiały, szczególnie na nogach podgiętych, głowę trzyma schyłłą, jak zamyślony filozof, który widział na polach bitew, co to jest chwala i szczęście ziemskie, co losy ludzkie. Ze stoi w pobliżu posągu Napoleona I,

wrażenie jest dziwnie smutne, jak pisze Ulbach, który jadąc do Rzymu na kongres literacki, zaważdził o Turyn i rzucił czytelnikom swoim kartkę z tej podróży.

Nawodnienie Sahary zajmuje obecnie uczone koła francuzkie. Na posiedzeniu *Towarzystwa ekonomicznego* w Paryżu rozbiegano wielostronnie tę sprawę i między innemi zabierał głos hr. August Cieszkowski, zbijając projekt zamienienia Sahary w morze, na zasadzie podania, jakoby w zamierzonej przeszłości miało ono tam istnieć. Morze to zniknęło przecież; natura sama osuszyła je i zapewne zrobiłoby się i teraz to samo: piaski połknęłyby prędko wodą, wprowadzoną w olbrzymi basen Sahary i w miejsce ożywionego zbiorowiska wody, otrzymanoby tylko ogromne bagnisko, rozsuszające szeroko febrę i wszystkie te wpływy szkodliwe, jakie zwykłe wydzielają się z mokradła tego rodzaju. Ale nawet pozostawiając przypuszczenie to na stronie, hr. Cieszkowski zapytuje się: czy wobec pomnażającej się ciągle ludności, nie za wiele ziemi pozostaje pod wodą? Więc też, zamiast zalewać ogromną jej przestrzeń morzem sztucznym, co jest rzeczą wielce kosztowną i trudną: czy nie byłoby lepiej poświęcić kapitał i pracę na ten cel, stokroć pożyteczniejszy, aby zdobyć dla ludzi rozległe obszary pustyni, czyniąc je ziemią urodzajną? Można by to otrzymać, wierząc wśród piasków studnie artezyjskie; każda studnia taka, jak każde naturalnie wytryskające źródło, to nowa oaza, w koło której wyrasta zaraz palma, puszcza się drobniejsza roślinność i żyje ptak, zwierzę, żyć może człowiek. Należałoby wśród sztucznych oaz wspomagać naturę; sadzić palmy daktylowe, te karmicielki człowieka w Arabii, tak wielkiej urodzajności, że w złym czy dobrym roku drzewo każde przynosi ośm franków od stopy sześciennej; dalej eukaliptus (*Eucalyptus globulus*), tak wspaniale i szybko rozrastający się w Algierii, sosnę z Alepu, akacyą i wiele rozmaitych krzewów, aż do kawy i bawełny, której plantacye szczególnie mogą się udać, gdyż po naturalnych oazach Sahary znajduje się ona w stanie dzikim. Wszystko to już zapas ściągający człowieka pracującego, osadnika, a razem najprostszemu, najnaturalniejszemu cel dla przedsiębiorczej pomysłowości, która zawsze iść powinna za wskazówkami natury.—Idźmy za wskazówkami natury—powtórzył Cieszkowski—dopomagajmy jej ale nie sprzeciwiajmy się jej, nie czynimy jej gwałtu! Na Saharze, która, wystąpiwszy z pod zalewu wód, potrzebuje tylko stać się zdolną do uprawy i roślinności, należy nie niszczyć tych oaz, czyli wysepek ziemi urodzajnej, które się wśród morza piasków utworzyły, ale za jej przykładem posuwać się w głąb i, wyprowadzając z łona ziemi ożywcze źródła, mnożyć oazy. „Trzeba zalesić, a nie zalać, Afrykę“, zakończył mówca.

Każda taka sprawa sztucznego gospodarowania człowiekiem na globie, związana jest z mnóstwem najwyższego znaczenia zagadnień z dziedziny klimatologii, higieny, meteorologii: nie można też postępować tu dowolnie.

Sen żołnierza w przeddzień walki, wielka wojenna symfonia Antoniego Kątskiego, która otrzymała pierwszą nagrodę na międzynarodowym konkursie w Londynie, była wykonana w pierwszych dniach tego miesiąca w Paryżu, w teatrze *des Nations*, przez dwustu artystów, orkiestrę i chóry,—dyrygował sam autor. Tłum ogromny zalegał teatr, powodzenie było wielkie, a artystka z komedii francuzkiej, panna Frémieux, deklamowała bardzo pięknie treść muzyki. Najdoskonalej oddającej obrazy, które przedstawić chciała. Treść owa jest: Wieczór rozpościera się nad obozem wojska, które nadciągnęło na odsiecz obleżonemu miastu, w dali słychać capstrzyk, a potem śpiew uroczysty modlących się żołnierzy, którzy następnie oddalają się pod namioty i zapada noc, a znią cisza. Ale wśród tej ciszy uspieni marzą i jeden z nich widzi w zwierciadle tych marzeń żonę, kochającą synka. Na tle muzyki wojennej odzywają się akkordy delikatne, smętne i łagodne, które malują wnętrza domowego ogniska i odzywa się śpiew matki nad kołyską, bardzo piękna kołysanka, wykonana znakomicie przez sympatyczną śpiewaczkę wielkiej Opery Paryzkiej, Jenny Ho-

we. Ta która śpiewa, jest głęboko smutną, tęskni do oddalonego męża, niepokoi się o jego los, lecz i inni obleżeni czuwają również, tylko myśli ich biegną w kierunku innym: przygotowują w cichoci wycieczkę na wroga, którego chcą zejść wśród snu. Ale nie... strażę dają znak trwogi. Odzywają się trąbki, biją bębny, bitwa się rozpoczyna i słychać tentent konnicy, wystrzały karabinowe i huk dział, słychać okrzyki wojenne, jedne tryumfu drugie rozpacz, wreszcie nieprzyjaciół pobity podaje tył, ucieka w rozsypce i wznosi się hymn dziękczynny. Połączone wojska, te, co pośpieszyły z odsieczą i te, które wyszły z miasta, wracają razem, wchodzą w otwierające im się bramy przy odgłosie muzyki i śpiewu. Następuje marsz z pochodniami i tańce ludowe, ale poranek świta, lekka muzyka cichnie a z wież kościelnych uderzają dzwony, lud i wojsko ciągną do świątyni, brzmia organy, aż po uroczystem *Te Deum* wybucha huczny finał muzyki wojskowej. Po dwóch mniejszych utworach Kąskiego, które odegrał sam, wykonano znowu z orkiestrą i chórami marsz jego kompozytorki: *Salut au drapeau* przed rozwiniętym sztandarem Francji. Dawano ogromne oklaski; krytyka i znawcy podnoszą obie sztuki bardzo wysoko.

Skowronek, książeczka, będąca ósmą z rzędu częścią *Zapisków ornitologicznych*, Kazim. Wodzickiego, wyszła we Lwowie u Gubrynowicza i Szmida i jest czemś niepospolitem w swoim rodzaju. Obok naukowej strony przedmiotu, opracowanej doskonale, obok obserwacji nad życiem i obyczajami ptaka, rozwija się poetyczne malowanie naszego krajoobrazu, okolicy, ponad którą skowronek wzbija się w błękity a z tego wynikają spostrzeżenia, uwagi i tworzy się obraz drugi: stosunków, ludzi, którzy tu żyją, włości, wieśniaka, chaty, dworu, a wszystko oddane tonami ciepłymi, obrzucone mgłą melan-

chologii. Czasem to sielanka, czasem elegia a razem utwór wart rozpowszechnienia.

Ostatnie chwile Garibaldiego zaznaczyły się bardzo poetycznym epizodem. Konający leżał przy otwartym oknie; wietrzyk zalatujący od morza orzeźwiał go, zachodzące słońce wpływało falą światła, gdy naraz dwie jaskuleczki czarnogłówek wleciały świergocąc i siadły na oknie, a on otworzył zamknięte oczy: — To one... Rozyna, Annita!... dusze moich córek — zawołał. — przyleciały po mnie, przyleciały po ojca swego.... — Nie płoszcicie ich.... dodał — dajcie im proszę to po mnie przybyły! Wtedy zaczął przyzywać syna: Manlio! Manlio! — wołał — jaskółki uleciały i on skonał....

Garibaldi oświadczając w testamentie pragnienie, aby zwłoki jego zostały spalone, nie myślał jednak o zwęgleniu ciała w piecu; chciał klasycznego stosu, takiego, na jakim w starożytnym Rzymie palono zwłoki plebejów i wyraźnie napisał, aby wzniesiono mu ten stos z akacyowego, mirtowego, mastyxowego drzewa i innych aromatycznych gałęzi, na nim odziany czerwoną koszulą i białym płaszczem żołnierskim, miał być postawiony na noszach z żelaznego łóżka i płonąć powoli, wobec zgromadzonego ludu, pod jasnym sklepieniem niebu. Ponieważ ta ostatnia jego wola stała się wszystkim wiadomą, książę Torlonia, syndyk Rzymu, wiozł już urnę porfirową, która mieściła w sobie prochy jakiegoś starożytnego Rzymianina, a którą wzięto z Muzeum Kapitolńskiego, by zawarła teraz szczątki bohatera. Lecz rodzina zmarłego zezwoliła na inny, zwyczajniejszy pogrzeb i ciało zostało złożone tymczasowo w grobie, z trudnością wykutym w kamieniu skały, obok mogiłek Rozyny i Annity, gdzie pragnął spoczywać i gdzie zwieszają się nad nim zielone gałęzie białej akacji.

Katafalk, z którego go brano, był niby łóżem

kwiatów; obok na stoliku leżała jego ulubiona i codzień czytana, zniszczona już też książka: poezye Hugona Foscolo: *Grobny*. Trumnę, w której go złożono, okrył kir złotem szyty, do grobu ponieśli go towarzysze walk za Włochy, hufiec ze sławego „Tysiąca“. W koło huczała tymczasem burza, strzały dawane z dział okrętowych, mieszały się z hukami gromów i ztąd pogrzeb był bardzo pośpny, choć bardzo uroczysty.

Starożytna Ostia, leżąca o godzinę drogi od dzisiejszych brzegów morza, jest pod kierunkiem włoskiego ministerium oświaty odkopywana. Już można przechadzać się po ulicach wydobytego na światło dzienne miasta, oglądać liczne budynki, gmachy publiczne, ruiny świątyni i nawet wchodzić w ich wnętrza, wkraczać do atrjów i dalej w głąb domów mieszkalnych. Ruiny tego portowego grodu dawnych Rzymian odkrywają przed oczyma dzisiejszych pokoleń, jakgdyby jedną kartę pamiętników zmarłego życia.

W Szwajcaryi, w miejscowości Bex, znaleziono na 4.000 stóp ponad powierzchnią jeziora dobrze zachowaną i mocno zbudowaną łódź z czasów mieszkań na palach. Jak się mogła znaleźć na tej wysokości? Nigdy jeszcze tak wysoko nie odkryto śladów z owej epoki.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2gi powieści pod tytułem: **Droga do serca.**

OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową Redakcją i na dotychczasowych warunkach.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie:	
Miesięcznie	kop. 60
Kwartalnie	Rs. 1 kop. 80

Na prowincyi i w Cesarstwie:

Kwartalnie	Rs. 2 kop. 50
Półrocznie	Rs. 5
Rocznie	Rs. 10.

Za dodanie dwa razy na miesiąc mój kolorowanych

dopłaca się w Warszawie:

Miesięcznie kop. 15 czyli liczy się . . .	kop. 75
Kwartalnie kop. 45	Rs. 2 kop. 25

Na prowincyi i w Cesarstwie.

Kwartalnie kop 50 czyli liczy się . . .	Rs. 3
Półrocznie rs. 1	Rs. 6
Rocznie rs. 2	Rs. 12.

Za dodanie co tydzień Mody kolorowanej, oraz co miesiąc zefiru

dopłaca się w Warszawie:

Miesięcznie kop 40 czyli liczy się . . .	Rs. 1
Kwartalnie rs. 1 kop. 20	Rs. 3

Na prowincyi i w Cesarstwie:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50 czyli liczy się . . .	Rs. 4
Półrocznie rs. 3	Rs. 8
Rocznie rs. 6	Rs. 16

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla Prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do Redakcyi nadesłać prenumeratę, wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z prowincyi i Cesarstwa upraszam również, aby żądania swoje raczyli adressować „do Redakcyi *Bluszczu* Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).”

Wczesne wyprawienie pierwszych, regularne odsyłanie dalszych numerów „*Bluszczu*“, zależy głównie od zastosowania się pod względem przesłania prenumeraty do powyższego ogłoszenia.

MICHAŁ GLÜCKSBURG

Księgarz-Wydawca.

TREŚĆ. Pogawędka. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd artystyczny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie). — Marya Sittówna, przez Jana Kleczyńskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Drobnie listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Юня 1882 года.